

Paweł Głowacki

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

# Żółte płetwy

I tym razem było, jak zwykle, znów nikt niczemu nie był winien, bo jak, skoro tym razem wszystkiemu winne były żółte płetwy Marcina Kobierskiego? Potwierdza się odwieczna reguła - kapłani Melpomeny zawsze są niewinni, albowiem zawsze przychodzi im w sukurs jakaś żółta płetwa sprawiedliwości. Żle jest, bo, dajmy na to, fatalny wtorek mamy albo nie tę, co trzeba, środę. Główny aktor się przeziębiał, głównej aktorce wyzionął ducha ukochany pinczer Grzmocik, ciśnienie spadło albo się podniosło, kółka, jesiień, migdałki, żniwa, powódź, stary jesiotr, jajko trzeciej świeżości, teściowa, cokolwiek, byle co. Zaś na św. Hieronima jest dysc albo go ni ma. Zgroza. I jak tu spokojnie teatr robić?

Ja - kat krakowskich teatrów, ja - zwierzę, ja - wampir z ulicy brzóz, powiadam wam - w takich warunkach nie da się robić teatru. Teraz to zrozumiałem, dopiero w niedzielę, gdym oglądał „Absolwenta” w Bagateli, pojąłem, że w swojej twórczości winienem otworzyć epokę miłosiernego Samarytanina. Owszem, artystom nie wychodzi, ale nie wychodzi im ściśle dlatego, że są niewinni. Gdyby byli winni - wychodziłoby im. Nie są winni, że są niewinni, ergo - zawieszam topór na kołku. I biorę w obronę upadłego „Absolwenta”. Kobierski gra rolę tytułową, gra Benjamin Braddocka. Gdy się kurtyna rozsunie - Kobierski, odziany w kompletny strój płetwonurka, siedzi na wyrku, patrzy na nas przez fachową maskę, ścisła w zębach rurkę oddechową. Jest mu źle. Na nogach żółte płetwy. Guma pije, młodzian cierpi. Gdy wchodzi ojciec, Pan Braddock (nawiasem - dlaczego Piotr Różański gra jakiegoś wujcia z Suwałk?), Kobierski nie zzuwa płetw. I nie zzuwa ich na widok matki, Pani Braddock (nawiasem - dlaczego Katarzyna Litwin gra jakąś ciocie spod Suwałk?). Dlaczego Kobierski nie zzuwa? To proste, żaden 21-letni amerykański absolwent szkoły średniej nie zwykł wyskakiwać z płetw na widok starych, nie zwykł, bo wie, że gdy wyskoczy, to straci resztki honoru młodzieńca. Człapie więc Kobierski wokół starych, człapie w żółtych płetwach, niczym kaczką, którą Bóg pokarał nieludzko monstrualnym platfuserem, mlaskający krok Kobierskiego wzbudza entuzjazm na widowni, wszystko idzie jak po masle, tylko

że gdy na scenę wkracza Pani Robinson (Katarzyna Gniewkowska) - człapanie się komplikuje. Ściślej mówiąc - nie ustaje ono. Tak jest, Gniewkowska prosi Kobierskiego o rozpięcie i tak ledwo widocznej sukni, a on nie dość, że nie słucha, to na domiar amatorstwa - nie wyskakuje z płetw. Tak jest, nie wysłuchana Gniewkowska i Kobierski w płetwach - to jest właściwie koniec spektaklu! W amerykańskich gimnazjach należy gruntownie zrewidować program nauczania. Zwłaszcza że później, gdy Benjamin jest już bez płetw, gdy go już Pani Robinson raz nakłoni do pochochności, zamiast drugi raz dać się nakłonić



Katarzynę Gniewkowską skazuję na wiekiście zapamiętanie

- proponuje on jej rozmowę o sztuce. W finale zaś, wreszcie w łóżku z Elaine (Urszula Grabowska), córką Robinsonów, okazuje się, że Elaine kończyła, niestety, to samo gimnazjum. Mianowicie proponuje ona Benjaminowi, by razem, jak na młode małżeństwo przystało, sięgali do wora ze zdrową, zasuszoną żywnością, wyciągali, co się da, po czym oddzielali żyto od prosa, zaś jęczmień - od

owsa. Oj, Ameryko, ty się lepiej zastanów nad sobą.

Tak jest w Bagateli na początku, w środku i na końcu. Cień żółtej płetwy miazdzy sens wszelaki. I nie jest to wina reżysera Piotra Łazarkiewicza. Nie jest, bo przecież każde dziecko wie - z żółtą płetwą nikt jeszcze nie wygrał. Mike Nichols, reżyser tamtego legendarnego filmu z Dustinem Hoffmanem w roli tytułowej, miał łatwiej. Hoffman występował w płetwach czarnych, a czarna płetwa to przecież zwyczajny pikus. Dlatego powstało filmowe arcydzieło o odwiecznej walce młodego ze starym, o gorzkim zawarciu tęsknoty za wewnętrzną wolnością z twardą jak szkło w zegarku płetwonurka mieszczańską stabilnością. Niestety, później zadziałała płetwa żółta - i już na poziomie teatralnej adaptacji pokazała swą moc. Tekst jest płaski jak żółta płetwa, bo żółta płetwa działa jak packa na muchy. Młask - i po paru dniach możemy zeszkobać ze ściany suche resztki, co na amen straciły trzeci wymiar. Więc i tłumaczka, Krystyna Podleska, nie jest niczemu winna. Słuchaj muchę da się przetłumaczyć wyłącznie na suchą muchę. Aktorem też odpuszczam. Kilka młasniewiczów - i byli, czym byli. Różański i Litwin - wiadomo. A Kobierski, Marek Litewka (Pan Robinson), Grabowska i reszta? W kolejności: najsmutniejsza ciapa Suwałk, drugi wujcio z Suwałk, najśrodsza „gaska” Suwałk i wreszcie - Suwałki jako takie.

Tak, wszystko układa mi się w logiczną całość, w żółtą niewinność twórców. Studienna nuda trzech bitych godzin - usprawiedliwiona. Mogilna trywilność sensu całości - usprawiedliwiona. Ba, nawet czerwona siekiera w garści Litewki - ją też usprawiedliwiam. Jedyna, która wyraźnie bruździ, to Gniewkowska. Wszyscy solidarnie gładzą - a ona chuligańsko daje rolę, na tym tle, nie do zapomnienia. Nie ma zmiłuj się - jest winna! Mam nadzieję, że kiedyś pacnie się żółtą płetwą w czoło i wróci do prawidłowego poziomu. Na razie skazuję ją na wiekiście zapamiętanie.

**Teatr Bagatela. „Absolwent”, adaptacja Terry Johnson. Reżyseria Piotr Łazarkiewicz. Scenografia i kostiumy Joanna Schoen. Muzyka Antoni Łazarkiewicz.**